



OSTATNIA GRANICA

KATARZYNA WOJTCZAK

Katarzyna Wojtczak

Ostatnia Granica

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2021

Katarzyna Wojtczak
„Ostatnia Granica”

Copyright © by Katarzyna Wojtczak, 2021
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie
może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: Renata Grześkowiak
Projekt okładki: Adam Brychcy
Autor zrezygnował z rozszerzonej korekty eBooka
Skład epub, mobi i pdf: Kamil Skitek

ISBN: 978-83-8119-804-2

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści

I.....	5
II.....	35
III.....	66
IV.....	94
V.....	112
VI.....	150
VII.....	187
VIII.....	199
IX.....	232
X.....	256
XI.....	284
XII.....	307
XIII.....	354
XIV.	398

I.

Dźwięk wciskanych miarowo klawiszy w końcu zaczął przynosić ulgę. Samo brzmienie tratowanych palcami przycisków miało wielką wagę. Rytmiczny stukot dawał nadzieję, że koniec awarii jest blisko, bliżej niż dwadzieścia, trzydzieści minut temu, i praca podjęta nad jej usunięciem przynosi w końcu wymierne rezultaty. Cisza oznaczałaby martwy punkt, z którego nie ma wyjścia. Porażka, wielki siniak na ambicji, wizja tłumaczenia się przed Radą i Liderem.

Komputer był stary, jeden z tych modeli, które pracowały jeszcze na dołączonej klawiaturze, zamiast nowoczesnych, wyświetlanych na dowolnej płaskiej powierzchni, wyglądających fantastycznie: półprzezroczysty ekran w czarnej lub stalowej ramce na nóżce z małym firmowym symbolem, służącym również jako czytnik. Na środku, pod ramką, znajdował się specjalny malutki rzutnik z termowizyjnym czujnikiem, podłączonym pod aplikację interpretującą ruch palców. Jej bezcielesność łamana jest tylko zdecydowanym starciem opuszka z zimnym stalowym blatem. Ten głośny, przestarzały zwój kabelków, płytek i kości nie został jeszcze ofiarą regularnej wymiany sprzętu. Pracująca na nim drobna kobieta nie skarżyła się. Być może była nawet zbyt skupiona, żeby zauważać sprzętowe

niedogodności. Może też nie potrzebowała wsparcia idealnej maszyny liczącej, opierając się na czymś tak pospolitym, jak własna wiedza i umiejętności. Notatki rozłożone dookoła były świadkiem wytężonej pracy ostatnich godzin. Obgryzione ołówki próbowały pochować się pod licznymi kartkami przed napastliwymi zębami właścicielki. Pomięte strony zapisane były licznymi równaniami i kodami, prawdopodobnie stanowiącymi rozwiązanie problemu.

Fabryka poddała się trzydzieści osiem godzin temu, po kolejnej burzy magnetycznej, która uderzyła w planetę. Stanęło wszystko: od maszyny pakującej, po lampkę na biurku kierownika, od skanerów przy rampie, po automatyczną spłuczkę w kiblu. Stukot klawiatury w końcu zwiastował zwycięstwo nad kolejną przeciwnością losu i załatanie następnej dziury, w, paradoksalnie, jednym z najnowocześniejszych systemów zarządzania. Ostatnia linia niecierpliwie czekała już na potwierdzenie, mrugając wręcz natarczywie kropką kursora. Kobieta wstała i podeszła do drewnianej ławki, na której drzemało dwóch mężczyzn. Szturchnęła ich obu stopą i powiedziała cicho kilka słów. Mikos i Ogar, dwóch młodszych mechaników, stanęło na równe nogi, pędząc do zleconych zadań. Jeden czuwał nad skrzynką z bezpiecznikami, by w razie potrzeby odłączyć zasilanie. Drugi czekał na sygnał, żeby przycisnąć wielki czerwony guzik, oznaczający start linii. Cichy dźwięk klawisza komputera stopił się z głosem kobiety:

– Resetuj!

Przyzwyczajenie do hałasu sprawiło, że nikt nie zareagował na zgrzyt ramienia mocującego, czy na to, że taśma klekocze jak stary wentylator. Nikt nie wpadł na to, żeby poprawić mocowanie rolek, albo nikomu się nie chciało. Dopiero zapach smaru, oleju i kto wie jakich jeszcze paskudztw, upewnił ekipę, że akcja się powiodła. Wybudzone ze sztucznego letargu maszyny podjęły swój koślawy taniec, światła powoli zapalały się jedno po drugim, ukazując pokrytą jakąś mazią linię produkcyjną. Zanim ruszy produkcja, wejdzie ekipa sprzątająca i wylże każdą śrubkę, każdą tulejkę. Zajmie im to kolejny dzień, dodając do bilansu dalsze dwadzieścia miliardów dywi strat z powodu przestoju linii.

Cała trójka przez chwilę patrzyła na efekty swojej pracy w napięciu i ciszy. Kobieta przeczesła dłonią potwornie potargane włosy. Jej palce zaplątały się na karku w skołtunione kosmyki. Twarz miała przeraźliwie zmęczoną, szarą, a ciemne kręgi pod oczami zdradzały wiele godzin pracy bez odpoczynku. Poplamiona kawą i olejem koszulka lepiała się do spoconego ciała. Na skórze jednak w końcu poczuła powiew chłodniejszego powietrza. Klimatyzatory też zaczęły działać. Nie było na co czekać, więc chwyciła telefon w rękę i z listy kontaktów wybrała Lidera Produkcji.

– Skończyliśmy – powiedziała do słuchawki. – Można zadzwonić po myjki, sprawdzę tylko protokoły bezpieczeństwa, ale na pierwszy rzut oka wszystko w porządku.

– Dobra robota! – Dało się słyszeć z drugiego końca linii.
– Straty w sprzęcie?

– Brak. Tym razem nic się nie spaliło, trzeba było tylko przeprogramować parę modułów.

– Za trzy dni zbiera się Rada Nadzorcza. Złożysz im pełen raport. Jutro masz wolne.

Lider odłożył słuchawkę bez słowa pożegnania.

Kobieta kiwnęła ręką na Ogara i Mikosa.

– Możecie iść – powiedziała do nich. – Poczekam tylko na myjki i też wyjdę za jakieś pół godziny.

Obaj nie zamierzali ukrywać uśmiechu. Była dwudziesta, więc wiedzieli, że zdążą jeszcze do sklepu po piwo, albo wstąpią do baru. Uwinęli się szybciej niż ostatnio. Było co świętować. Obaj podnieśli ręce w geście pożegnania i, zanim zdążyli je opuścić, już byli ze trzy metry dalej. Drzwi wejściowe przyciągały ich z mocą czarnej dziury. Nikt nie silił się na przemowy i słowa wdzięczności za solidnie wykonaną pracę. Po pierwsze by ich nie dogoniły, a po drugie samo stwierdzenie „możecie iść” było w tym wypadku równorzędne z życzeniem spełnienia marzeń i miłego dnia w jednym. Została sama.

Klimatyzatory działały już na pełnych obrotach, w hali zrobiło się chłodno. Pozostała samotna pracownica, która naciągnęła na ramiona podniszczoną bluzę z nazwiskiem – Viga Mimishi, na naszywce przyczepionej do rękawa. Powoli powylączała maszyny i zgasiła większość świateł. Przez małe, wąskie okienka, umieszczone poziomo na całej

długości hali, do środka wdzierało się pomarańczowe światło zachodzącego słońca. Pozostała pewnie jeszcze godzina, zanim zacznie chować się za górami, a tymczasem pozwalało spływać górskiemu, nagrzanemu powietrzu w kierunku ludzkich osiedli. Skwar wczesnowieczornej pory stał w zdecydowanej sprzeczności z nadchodzącą nocą. Powinno być coraz chłodniej, a nie coraz cieplej. Poświata kończąca kolejną dobę szturmowała okna i co niektórzy promień przebijał do wnętrza, ogrzewając ciepłą barwą milczące, zastygłe w bezruchu maszyny. Cisza sprawiała, że powietrze zakrzepło, otulając halę wrażeniem osamotnienia. Kobieta nie wydawała się jednak zmartwiona brakiem towarzystwa, jej twarz była spokojna. Zdawała się oddychać z ulgą i z tej przerażającej wizji uśpionych urządzeń czerpać siłę i pewność kolejnego kroku. Usiadła przed swoim starszawym komputerem i przez kilkanaście minut w skupieniu pracowała, sprawdzając protokoły bezpieczeństwa. Po chwili ochroniarz zaanonsował przez radiostację przybycie ekipy sprzątającej. Otworzył przejście za pomocą czytnika linii papilarnych, umieszczonego tuż przy rampie. Sprzątacze wypełnili ewidencję, wczytując personalia z wygodnego chipu pod skórą. Wszyscy z nich to stali pracownicy. Nikt nie mówił im, co mają robić, oni już to wiedzieli – ich Lider otrzymał informacje od Lidera Produkcji. A jeśli nawet ścieżka byłaby inna, efekt i tak byłby ten sam. Myjki przeszły do linii produkcyjnych, rozmawiając szeptem i mimo że kobieta próbowała

maksymalnie wyostrzyć słuch, to do jej uszu nie dotarł nawet strzęp ludzkiej, ziemskiej mowy.

Viga wyszła przed bramę. Natychmiast uderzyło w nią suche, wieczorne powietrze. Zmiana kierunku wiatru o tej porze dnia wielu doprowadzała do szewskiej pasji. Zamiast lekkiego, orzeźwiającego podmuchu, od znajdującego się parę kilometrów dalej oceanu, płuca zmuszone były wdychać zakurzone, nagrzane na górskich zboczach powietrze, które właśnie rozpoczęło swoją podróż ku brzegowi oblanemu słoną wodą. Kurz, widoczny nawet gołym okiem, podrażniał nie tylko płuca, ale i oczy, skórę, wciskał się do uszu i we włosy. A z drugiej strony miał niepowtarzalny zapach wiecznie zielonych krzewów gunami, które kwitły skromnie, ale za to całe lato, i powodowały, że górskie powietrze pachniało niczym pęk świeżych ziół. Słońce kończyło swoją dzisiejszą trasę. Powoli przybierało ciemnopomarańczową barwę, dzięki czemu szarobrązowe włosy kobiety zapłonęły, niczym pochodnia, milionem odcieni rudości, a piegi na nosie i policzkach były jeszcze bardziej widoczne.

Ostre krawędzie kamieni zgrzytały pod jej stopami, kiedy szła na parking dla załogi fabryki. Wzrokiem szukała jednoosobowego mobila, teraz pokrytego grubą warstwą kurzu. Zresztą wystarczały dwie, trzy godziny w tym miejscu i w tym klimacie, aby nawet woda pokrywała się błotnistym kożuchem. Z impetem dodała gazu, nie czekając, aż otuli ją nadchodzący mrok. Ciemność, oprócz masy nieprzyjemnych zwierząt, które wypełzały z zarośli,

miała w sobie tak pożądaną ciszę. Jazda mobilem w kierunku domu była najczęściej ucieczką od jakiegokolwiek towarzystwa, nawet zakupy załatwiała w możliwie najkrótszym czasie, przy kasach automatycznych. Lubiła mroki tej planety. Ciemność pozwalała się ukryć.

Oczekiwało na nią tylko wielkie drzewo tufi, przypominające trochę gigantyczną dracenę, ale w przeciwieństwie do nich było obsypane żółtymi kwiatami, które zwisały w dwudziestocentymetrowych gronach. To drzewo zasadził poprzedni właściciel domu. Z przemyconych nasion wykiełkowała tylko jedna sadzonka, która po prawie czterdziestu latach dorosła do czterdziestu pięciu metrów wysokości i wielkim parasolem ocieniała cały dom. Dom – ta nazwa to spora nadinterpretacja. Całość miała dwadzieścia pięć metrów kwadratowych i gdyby nie to, że na stałe podłączony był do wodociągów i kanalizacji, można go było pomylić z przyczepą kempingową. Wchodząc, prawie od razu wpadało się do salonu i kuchni jednocześnie, a obracając się w prawo było się w gabinecie, przy biurku z trzema komputerami i kilkunastoma innymi elektronicznymi śmieciami. Zupełnie z tyłu, za cienką ścianką, kryła się mała, dobudowana łazienka. Żeby znaleźć łóżko, należało zadrzeć głowę do góry, bo antresola z przysłoniętym zasłonkami wejściem była prawie niewidoczna. Jedynie sznurkowa drabinka sugerowała ukryte pomieszczenie.

Woda spływająca z kobiety pod prysznicem była brudnożółta. Gینące w odpływie potoki sprawiały wrażenie, że zmywała z siebie małą wydmę. W paru miejscach Viga znalazła paskudne otarcia. Nic dziwnego – ten cholerny piach potrafił wcisnąć się nawet pod bieliznę, a trzymanie go tam półtorej doby też nie wpływało korzystnie na skórę. Nieważne, gruba warstwa maści przeciwzapalnej i kilka godzin bez bielizny wystarczały. Dobrze, że najbliższy sąsiad mieszkał dobre siedemset metrów dalej, bo za to przedstawienie mogłaby wziąć niezłą forszę. Jedną z podstawowych zasad tej planety, to wyszorować się dobrze pod prysznicem, bo plamy na ręcznikach były nie do wywabienia. W piasku była taka ilość barwiących minerałów, że nawet ciemnoszary materiał po paru niedokładnych prysznicach robił się rudy, niczym garść zardzewiałych gwoździ.

Głośny dzwonek rozległ się dokładnie z końcem płukania włosów. Co prawda Viga miała zarezerwowany zapas wody, bo nie było jej w domu ze dwa dni, ale mógł on się jeszcze przydać. Poza tym za oszczędzoną wodę można było dostać dodatkowe talony, a to już dało się dobrze przehandlować. Wytarła się więc szybko i założyła przydługą koszulkę, która kiedyś należała do jej przyjaciela. Po prysznicu znów poczuła się, jak we własnej skórze – maść przeciwzapalna zlikwidowała paskudne wrażenie piekącego bólu z otarć, pasta do zębów poradziła sobie z resztkami batonów energetycznych i kawy, szampon usunął piasek i jakiś dziwny smar z włosów. Po tych wszystkich zabiegach

w końcu odważyła się spojrzeć w lustro. „Może być” – pomyślała. Blizna na lewym udzie psuła obraz. Ale to jedyna większa skaza, którą wówczas było widać. Ta pomiędzy włosami była niewidoczna, wyczuwalna tylko pod palcami, a dalej pod nią mieścił się mały metalowy okrąg do regulacji czułości implantu. Dzięki niemu słyszała to samo i tak samo jak kiedyś, a nastrój poprawiał jej fakt, że płaciło za niego Konsorcjum, a nie jej własna kieszeń.

Migające światełko poczty głosowej, po dwóch dniach nieobecności w domu, nie było niczym dziwnym. Stare rozwiązania nadal były w cenie. Niestabilność sieci radiowych i satelitarnych sprawiła, że telefon i sieć najchętniej czerpały swą siłę ze światłowodu, położonego w miasteczku i okolicach już kilkanaście lat temu. O dziwo to, co można by nazwać przestarzałym rozwiązaniem, patrząc z perspektywy ery kosmicznej, stało się podstawowym narzędziem na pustynnej, niegościnniej planecie. Wydawałoby się, że mogą tu żyć tylko węże i szarańcza, ale kilka humanoidalnych gatunków też nieźle dawało sobie radę.

Palec kobiety zawisł na moment w wahaniu nad guzikiem odtwarzania wiadomości. „Jest wiadomość – czyli to od kogoś miejscowego”. – Mogłoby to oznaczać albo dodatkową robotę, na którą była teraz zbyt zmęczona, informacje z pracy, na które nie miała aktualnie ochoty, albo niespodzianki. A niespodzianki nie bywały dobre. A przynajmniej w jej świecie nigdy. Niestety, przed tym i tak nie dawało się uciec, już lepiej było wiedzieć, o co chodzi,

więc szybko przyłożyła palec do czytnika identyfikacyjnego. Przenikliwy dźwięk w mgnieniu oka zamienił się w treść wiadomości:

„Odebrano dziś o 09:50 czasu miejscowego. Podpisano: Ki Demud Va. Wiadomość: Hej, Viga, jak widzę, jesteś w pracy. Mam nadzieję, że czasami cię stamtąd wypuszczają? Jeśli tak, odezwij się, bo mam dla ciebie propozycję. Będę jutro w okolicy, numer...”.

Gdzieś przy ciągu cyfr, które Ki z siebie wypuł, odebrałoby jej mowę, gdyby miała w tym momencie z kim te parę słów zamienić. Telefon zaciążył jej w ręce, kiedy już po chwili wybierała miejscowy numer. Ki nigdy nie był towarzysko-spontanicznym typem. Wydawało się, że jest nierozsądny i narwany, ale lata współpracy nauczyły ją, że Ki zawsze miał plan obmyślony na cztery kroki naprzód. I to plan A, plan B i C. Jeśli mówił: „propozycja”, znaczyło to, że obmyślił ją już dawno temu.

– Wiedziałem, że zadzwonisz!

Jego głos zabrzmiał wręcz triumfalnie po szóstym sygnale, kiedy planowała już się rozłączyć.

– Zrobiłeś wszystko, żeby mnie zaciekać. Masz moją uwagę.

– To nie na telefon. – Wyraźnie spoważniał. – Ale spokojnie, wszystko legalne, tylko może wymagać dłuższej rozmowy. Poza tym, dawno się nie widzieliśmy i chętnie cię zobaczę. Będę jutro na plaży, przy starym wraku

pościgowca. Mały spacer, a potem możemy skoczyć na jakieś luchy!

– Zamierzasz mnie przekabacić kawałkiem pustynnego, pełzającego mięcha?

– Oczywiście! To około siódmej może być?

– O, co to, to nie! – Słyszac proponowaną godzinę jej ciało się rozplakało. – Skończyłam właśnie zmianę, która trwała trzydzieści osiem godzin. Spotkajmy się o dziewiątej.

– A więc dziewiąta. Do zobaczenia!

Nie poczekał na pożegnanie, zresztą to nic nowego, zawsze był mało kulturalny. Kiedyś obarczano za to jego beznadziejne dzieciństwo i prawie arystokratyczne wychowanie, ale po paru latach większość znajomych uznała, że po prostu ma braki w kulturze.

Łykając raz po raz wyciągnięty z lodówki gorzki napój, Viga siedziała w fotelu, chłonąc ciemność. Lubiła te chwile. Pozwalały odpłynąć w niepamięć, odciąć się od minionych lat. Nie można było ich powtórzyć, większości nawet nie chciałyby powtarzać. Był tam przede wszystkim ból, przemoc i strach. Tu, teraz, w tym momencie czas zastygał i nie wymagał od niej podejmowania decyzji.

* * *

– Nic się nie zmieniłaś! – krzyknął na pół wybrzeża rozradowany Ki.

– Ty za to zaczynasz przypominać swojego ojca. Łysy, chudy i przydługi.

Ki przeciągnął leniwie ręką po łuskach na prawej skroni. Warkocz ciągnący się od czoła przez całe plecy był teraz zupełnie czarny. Kiedyś nadawał mu jaskrawe kolory, a w dniu, kiedy nagle zrobił różowo-turkusowe pasemka, ktoś życzliwy obił mu twarz. Nawet to wydarzenie nie przeszkodziło mu nadal doprowadzać swoją fryzurę do granic wytrzymałości. Jego wręcz standardowe uczesanie wzbudziło więc zdziwienie. Przytyk w sprawie jego łysiny był zwykłą złośliwością.

– Mówiłeś, że masz propozycję.

– Przejdźmy się.

Oceaniczna woda lekko wdzierała się na piaszczystą, gładką plażę płaskimi, wręcz subtelnymi muśnięciami. O tej porze roku woda była niezwykle spokojna, stanowiąc olbrzymi kontrast do zimowych sztormów. Nie trzeba było nerwowo uciekać przed falami, żeby nie zamoczyć butów. To wyjątkowe miejsce. Trzydzieści lat temu rozbił się tu okręt pościgowy, a że był to środek wojny – nikt go stąd nie sprzątnął. Stał do połowy w wodzie, ogonem wskazując północ. Nikomu nigdy nie przeszkadzały resztki radioaktywnego paliwa i sterczące na wszelkie kierunki żelastwo. Ludzie zajęci byli odzyskiwaniem po raz kolejny kawałka domu, dachu, pożywienia, więc chmary dzieciaków z okolicy bawiły się w tym wraku. To tu przeżywali swoje pierwsze miłości, rozczarowania, strach, radość, nadzieję i zwykłą niewinną radość z zabawy. Nie straszne było im

skakanie z paru metrów do zielonej wody, zabawy w chowanego w kompletnych ciemnościach starych korytarzy. Straszna była dopiero dorosłość, która ich potem czekała.

Wiatr od morza był niezwykle przyjemną odmianą od jej zakurzonego brata znad pustyni. Viga czuła podekscytowanie.

– Chyba odeszliśmy już wystarczająco daleko, Ki. Tu nas nikt nie usłyszy. – Przystanęła, dając mu znać, że nie zamierza kontynuować tej wycieczki.

Spojrzenie Ki było badawcze i przenikliwe. Dawał znak, że to, co ma do powiedzenia jest ważne, ale jednocześnie poważne. Przystanął również, zwracając się twarzą w kierunku rozmówczyni i świdrując ją czarnym spojrzeniem.

– Za dwa, trzy dni przyjdzie do ciebie Wiliani. Przyniesie rozkazy, zostaniesz ponownie wcielona do załogi. Chciałem cię uprzedzić, żeby ułatwić ci decyzję.

– Niby jaką, kurwa, decyzję. To, co mówisz, to nie propozycja, tylko uprzedzenie o egzekucji! – Ciśnienie krwi podniosło jej głos ponad kulturalny limit.

– Dostaniesz trzy okręty do wyboru. Jesteśmy na Muscali. Ja, Kommon, Mia i Lods.

– Nie chcę wracać. Nawet dla nich, dla was. – Głos kobiety był twardy.

– Myślę, że możesz nie mieć wyjścia. Naczelnik jest w trudnej sytuacji, brakuje ludzi, szczególnie

wykształconych lub ze specjalnymi umiejętnościami. Ty jesteś zupełnie na chodzie, na dodatek cywil na kontrakcie. Łatwiej mu ściągnąć ciebie niż kogoś, kogo zwolnił już ze służby. Na pewno cię ściągną, oswajaj się z tą myślą. Przydział jest bezdyskusyjny. Możesz co najwyżej wybrać okręt. To od ciebie zależy, co zrobisz z tą informacją.

Viga odwróciła się gwałtownie i rozpoczęła marsz powrotny. Szła spokojnie tylko dlatego, że łyzy mocno ograniczały jej widoczność. Nie chciała, żeby Ki widział jej twarz, miała nadzieję, że mimo obiecanych luchów nie ruszy za nią. Jej wściekłość mieszała się z przerażeniem, szczególnie, że wiedziała, iż w tej sytuacji nie da się powiedzieć „nie”. Obowiązek zawarty w kontrakcie miał moc wiążącą do ostatniego oddechu. Nawet chwilowe oddelegowanie z czynnej służby nie oznaczało, że kiedyś do drzwi nie zapuka ktoś z nowym przydziałem. Nie masz nóg? Trudno, popracujesz rękami. Nie masz rąk? Głowa da radę. Wolna wola związana w kłębek, którym Konsorcjum odbijało dla zabawy jak piłeczką, w zamian dając złudzenie wolności w postaci pieniędzy. Nie obejrzała się też na stary wrak. Z jego kadłuba, wznoszącego się dziesiątki metrów nad powierzchnię, wiele razy oglądała ocean. „Może powinnam chłonać widoki, bo przecież to pewnie ostatnia wizyta na plaży. Może po prostu zacisnąć zęby i zapomnieć? Ile to już było tych zapomnianych miejsc? Pierwszy raz niedługo po czternastych urodzinach, potem co kilka, kilkanaście miesięcy inny przydział. Inny punkt, który próbuje się nazywać domem”. – Po latach złudzenia odeszły, stało się

pewne, że nie ma stałego miejsca zaczepienia. Wszystko można zastąpić, część jest w ogóle niepotrzebna. Ciuchy, które mieściły się w dużym plecaku, mogły wystarczyć na każdą strefę klimatyczną, komputer działał nawet na destylacie z moczu, sprezentowany lata temu wodoodporny koc termiczny mieścił się w puszce po zupie. Nie miała oprócz tego nic wartościowego, a na pewno nic, co można by ukraść lub pakować do walizki. Obrazy, dźwięki, zapachy przechowywane były w głowie. W dwadzieścia minut Viga byłaby gotowa do relokacji.

Schodząc z plaży, wzrokiem odszukała mobila i odjechała. Pojazd poruszał się gładko po żwirowej drodze, odkąd Koe zamontował mu nowe amortyzatory i ściągnął lepsze opony. Wcześniej jeździł na fabrycznych, które bardziej przypominały opony do taczki. Koe miał swoje dojścia. Zaledwie dziesięć minut i dwa telefony zajęło mu zamówienie dla Vigi kompletu ślicznych oponek z felgami z demobilu.

Zatrzymała się dopiero pod własnym domem. Zatrzasnęła za sobą drzwi, ale nie ruszyła się z miejsca, aż usłyszała ciche pukanie.

– Przywiozłem luchy...

Ki próbował się uśmiechać, żeby jednak zrobiła trochę miejsca i wpuściła go do środka.

– Ki...

– Pogadajmy na luzie. Powiem ci, co wiem.

Wahała się, ale zrobiła pół kroku w bok, żeby Ki mógł wejść. Dom robił jeszcze bardziej komiczne wrażenie, kiedy do niego wszedł. Ze swoim prawie dwuipółmetrowym wzrostem i ogonem, zachowawczo owiniętym wokół uda, sprawiał wrażenie, jakby wszedł do klatki. Siadł na kanapie i położył na stoliku dużą papierową torbę z miejscowego baru. Viga postawiła przed nim dwie butelki zimnej wody i wzięła pierwszego lucha.

Kobieta nie odzywała się, czekając aż Ki coś z siebie wykrztusi.

– Niezłego macie kucharza! Nikt by nie pomyślał, że z takim smakiem można zajadać oślizgły ogon jakiegoś pustynnego paskudztwa, pieczony na kamieniach.

– Nie licz na przepis! Gadaj! – przerwała mu Viga z pełnymi ustami.

– To nowe statki... Sprawne, rozwijają dobrą prędkość. Mają baterie dekabrytowe, użycie materii egzotycznej.

– Bredzisz.

Ki wiedział, że nie mówiła o osiągnięciach okrętu. Westchnął ciężko.

– Takie dostałem polecenie. Mam was przygotować do przydziału, kwestia możliwości wyboru okrętu to słodzenie beczki soli.

– Dlaczego?

– Nie znam szczegółów, ale misja jest niebezpieczna. Większość trasy wiedzie przez wrogie terytorium. Teoretycznie to statek transportowy, ale sama wiesz, że

niektóre ładunki bywają bardziej niebezpieczne od innych. Naprawdę, nie wiem dokładnie, co i jak. Potrzebują elektroników, speców od zabezpieczeń, ładunków wybuchowych, od systemów sterowania. Na liście załogi jest w większości wojsko, po części nasze, częściowo z Konsorcjum Ibedy. Dulann nie chciał mówić nawet o tym, co mamy na wyposażeniu osobistym. Ty i Lods możecie próbować wywinać się z powodów zdrowotnych, ale sądzę, że to może skończyć się jeszcze gorszym przydziałem.

Viga patrzyła na niego z niedowierzaniem. Miała wrażenie, że był podekscytowany.

– Wydaje mi się, że wietrzysz przygodę.

Chyba dobrze trafiła, bo uśmiech rozjaśnił jego postać od głowy do stóp.

– Zawsze, zawsze mam nadzieję, że to będzie przygoda.

Viga długo nie mogła zasnąć. Przez cienką zasłonkę antresoli widziała w mdłym świetle księżyca Ki rozciągniętego na jej podłodze. Jak na arystokratę nie był wybredny. Lata spędzone w wojskowym reżimie sprawiły, że bez problemu zasypiał na dwóch kocykach, trzecim się przykrywał, a jego zrelaksowane gulgoczące chrapanie rozbrzmiewało w obrębie trzydziestu metrów. Znali się długo, bardzo długo, ale jego pochodzenie było zagadką. Znała też kilka osób z jego rodziny. Ki miał rodziców, dwie siostry i jakiegoś wujka. Wiedziała o ich historycznych zasługach dla Galaktyki. Ale nic o pochodzeniu. Nigdy też nie spotkała gatunku podobnego do nich. Tak jakby został

tylko Ki i te parę osób z jego otoczenia. Nawet nie wiadomo było, ile ma lat. Można by powiedzieć, że ze trzydzieści, ale dziesięć lat temu wyglądał tak samo. Wyjątkowa aparycja i owiane mgłą tajemnicy korzenie tylko podsycaly wszelakie plotki krążące na jego temat. Nawet trudno było zliczyć, ile razy posądzano Ki i Vigę o międzygatunkowy romans. W niej budziło to wręcz niesmak i dreszcze, a Ki na ogół zwiżał się ze śmiechu, twierdząc, że w jego okolicach mogłaby być, co najwyżej, maskotką. Przez lata pojawiał się i znikał, czasami niosąc szczęście i zapomnienie, a czasami strach i pożogę. Łączyła ich zawsze radość odkrywania, dzieliła przepaść ludzkich emocji. Cokolwiek Ki wymyślił, nigdy nie było spokojnie. Mógłby przyrzekać na groby swoich wielokrotnie odznaczanych przodków, że go zmusili, ale nigdy nikt by w to nie uwierzył. Po prostu wyczuł przygodę końcem swojego ogona.

Poranna kawa o niehumanitarnej godzinie rozpostarła swoje skrzydła nieziemskim aromatem w małym wnętrzu. Ki wstawał zawsze o świcie, bez względu na to, o której godzinie byłby świt. Nie wiadomo też, jakim cudem zawsze był wyspany, nawet jeśli położył się po trzech dniach warty na dwie godziny. Funkcjonował prawdopodobnie na paliwo rakietowe pompowane mu prosto do żył. Takie pobudki można wybaczyć tylko w jednej sytuacji. Na szczęście to była jedna z nich, bo ledwie Viga podniosła powieki, dobiegł ją głos Ki:

– Śniadanie na stole!

Ki posiedział prawie do południa, spędziwszy czas na plotkach. Nie do końca miał zaufanie do powtarzanego przez Vigę jak mantra zdania: „Wszystko u mnie w porządku”. Za długo się znali, żeby dał się na to nabrać. W zasadzie zamknięta i uwięziona na kamienistej pustyni, zmarniała i posmutniała. Konsorcjum trzymało ją na wyciągnięcie ręki, ale w klatce. A w klatce ptaki szybko umierają.

Viga nie dała się jednak sprowokować do zwierzeń, Ki nie nalegał. Pożegnał się krótkim „do zobaczenia za parę dni”.

Cisza spłynęła w jej żyły jak narkotyk. Moment, w którym w końcu można przestać się uśmiechać i udawać, że naprawdę się żyje tym życiem, powitała z ulgą.

W malutkiej kuchence Viga zaparzyła wielki kubek deficytowej herbaty. Została jeszcze z ostatniego przydziału dla specjalistów. Może jeszcze ze dwa kubki będzie mogła się nią cieszyć. Z parującym naczyniem usiadła do komputera, żeby zacząć pisać raport z awarii. Nie zdążyła skończyć pierwszej strony, kiedy usłyszała szum pojazdu parkującego przed domem. Wyjrzała przez okno, nie podnosząc się zza biurka. Wielki, luksusowy, antygrawitacyjny Boja 620. To musiał być Korporacyjny pojazd. Nikogo innego nie byłoby na to cacko stać.

– Wiliani – potwierdziła szeptem sama do siebie, widząc wychodzącego z pojazdu półczłowieka.

Jego krygańskie brwi i wystrzępione uszy przyćmiewały obłędnie błękitne, ludzkie oczy. Wszyscy wiedzieli, że matka Wilianiego była służącą w domu jego ojca. Nigdy się z tym nie krył. W zamian za wychowanie, naukę i przyjęcie do

rodu zgodziła się całkowicie zrzec praw do syna. Wiliani w stu procentach skorzystał z tego, co zapewniła mu matka, a na co bezdzielny wcześniej ojciec przystał. Kończąc naukę na jednej z akademii, miał na koncie kilka prac naukowych i pewne zatrudnienie na wysokich stanowiskach w Korporacji Mogomi Daja. Viga spotkała go kilkakrotnie. W ciągu wielu lat służby zajmował się zawsze najważniejszymi zadaniami, ale rzadko sam ruszając w teren. Był raczej mózgiem i inspiratorem niż wykonawcą, ale ponieważ jego pomysły najczęściej trafiały w sedno, wszyscy ochoczo skakali wokół jego wskazującego palca, pławiąc się w blasku jego chwały.

Mimo nietypowych początków znakomicie odnalazł się w roli dziedzica. Wyprostowana, wysoka sylwetka, już samą aurą pewności siebie graniczącej z arogancją, górowała nad pracownikami. Jego pojawienie się tuż przed malutkim domem specjalisty na kontrakcie było zdecydowanie nietypowe. Już wcześniejsze odwiedziny Ki powinno się odnotować w annałach, ale odwiedziny Wilianiego należałoby ogłosić w szerokopasmowej telewizji. Jakby samo najwyższe bóstwo zstąpiło do piekła.

Kobieta nie czekała na pukanie, bo obaj ochroniarze byli więksi od drzwi. Jeśli tylko zaczęliby łomotać, mogłoby się okazać, że trzeba powiesić zasłonkę w futrynie. Nie wstając z krzesła, uchyliła drzwi i wysunęła głowę przez szparę. Badawcze spojrzenie popleczników dygnitarza objęło jej oblicze wyraźną pogardą.

– Tak? – Udała zdziwienie na ich widok.

– Jesteśmy z Mogomi Daja. Możemy wejść i porozmawiać? – odezwał się sucho jeden z ochroniarzy.

– Wszyscy chcecie ze mną rozmawiać?

Zdecydowanie przeceniali metraż domku.

– To może ja wyjdę do was.

– Nie ma potrzeby. Myślę, że rozmowa w cztery oczy wystarczy – odezwał się pojednawczo Wiliani, robiąc kilka kroków do przodu.

Nie było sensu się opierać. Jeśli nie po dobroci, to weszliby siłą. Viga wstała z krzesła i otworzyła drzwi na oścież, dając znak Wilianiemu, że może wejść. Nie zawahał się ani chwili, dziarsko przekraczając próg, mimo że spojrzenie lokatorki nie zachęcało do odwiedzin.

Wiliani najwyraźniej wcale się nie przestraszył, wkroczył do salonu i przysiadł na kanapie. Wyczekująco spojrzał na stojącą w drzwiach kobietę, więc ponownie zajęła krzesło i, przysuwając się do małego stolika, dała mu znać, że jest gotowa do rozmowy.

– Domyślam się, że już wiesz, po co przyjechałem. Ki Demud Va na pewno cię już odwiedził. Sam jednak za dużo jeszcze nie wie, mimo że przeczucia ma dobre... – Lekki uśmiech zabłąkał się na jego twarzy. – Zostaniesz przydzielona na jeden ze statków. Jeśli chcesz lecieć z całą resztą swojej byłej ekipy, to rzeczywiście droga wolna. Potrzebuję cię tam jako specjalisty od zabezpieczeń, cała elektronika pod twoją kontrolą. Dostaniesz takie zabawki, jakie tylko chcesz. Wiesz, że Korporację stać na każdy

kryształ i kabelek, jaki sobie wymyślisz. Nie mogę ci zdradzić, czego dotyczy zadanie, wszyscy dowiedzie się na odprawie. Mogę ci za to powiedzieć, że jest opłacalne. Misja obliczona jest na sześć miesięcy. Jeśli zechcesz, możesz zostać przy podobnych zadaniach jak to, o którym mowa, jeśli nie, to dostaniesz nowy przydział. – Zawahał się przy ostatnim słowie, z odrazą rozglądając się po domu, jakby był heruviańską jaskinią. – W każdym razie może być ciekawie i niebezpiecznie, i myślę, że to zadanie dla ciebie.

Viga nie mówiła nic, w zasadzie czekała na kopertę z danymi do relokacji. Cokolwiek by powiedziała, nie miałoby znaczenia, bez względu na słowa, jakie wypływał Wiliani, ton jego głosu mówił jednoznacznie. Nawet jeśli istniały jakieś opcje wyboru, od samego zadania nie dało się wywinąć. Na pewno zmiana przydziału ze względów zdrowotnych też nie wchodziła w grę.

– Pewnie nie pamiętasz moich odwiedzin na Jura 44, byłem u ciebie po operacji...

– Pamiętam – przerwała mu czerwona na twarzy. – Nadal mi wstyd za użyte słowa.

– Nawet nie zapamiętałem. – Machnął ręką od niechcenia.
– Poza tym przy takiej ilości leków przeciwbólowych zdziwiłem się, że w ogóle byłeś przytomna. Staram się dbać o specjalistów, jesteś przykładem, że nie zawsze mi się udaje i nadal jest coś w tym systemie do zrobienia, i że ja mam coś do zrobienia. Ale fakt, iż nie straciłaś hartu ducha, jednoznacznie świadczy, że przeznaczono cię do rzeczy wielkich. Masz szansę się z jedną z nich zmierzyć.

Wiliani wstał.

– W poniedziałek o ósmej przyleci po ciebie transport, sprawy w fabryce Konsorcjum bierze na siebie, zaległa pensja zostanie przesłana na twoje konto w naszym banku. Pełen kontrakt dostaniesz na odprawie. Konsorcjum zlikwiduje też twój obecny dom. Spakuj najpotrzebniejsze rzeczy, maksymalnie dwie torby. Jeśli coś stąd chcesz zachować, zapakuj do opisanych kartonów, przechowamy do twojego powrotu.

Viga nie odezwała się, gdy Wiliani wychodził. Czuła, że kłamał. Nikt wcześniej nie robił takich ceregieli z nowym przydziałem, nawet kiedy ktoś był długo poza służbą w polu. Po prostu przyjeżdżał żołnierz, lub jeden z urzędników, chwila rozmowy, czas na spakowanie i wyjazd. „Po co te ceregiele z przygotowaniem do zadania? Od kiedy Konsorcjum przejmuje się stanem emocjonalnym specjalisty kontraktowego?” – Pozostawało czekać do odprawy, wcześniej nie było szans na odpowiedzi.

Zamknąwszy za Wilianim drzwi, Viga weszła w tryb zadaniowy. Była przyzwyczajona do przeprowadzek, więc stały się dla niej rutyną. Tym razem celowo chciała wpaść w trybik tej maszyny tylko po to, żeby ograniczyć negatywne emocje. Rozejrzała się, sprawdzając, które rzeczy musi oddać, od razu planując wycieczkę do najbliższego sąsiada, żeby jak najszybciej mieć to z głowy. Praktycznie w progu ocknęła się, że tym razem ma więcej czasu i nie musi pędzić na złamanie karku.

Z nadmiaru wolnego czasu przejrzała garderobę i postanowiła wymienić kilka rzeczy. Dostała trzydzieści sześć godzin na spakowanie, więc spokojnie mogła jeszcze zrobić małą wycieczkę na zakupy. Dużym plusem mieszkania na przemysłowym osiedlu był rewelacyjnie zaopatrzony sektor odzieży technicznej. Ciuchy odporne na wszystko, łącznie z próżnią, paliwem krystalicznym i owocami sukumu. Ledwie ta myśl pojawiła się w jej głowie, wskoczyła do mobila. Całe jej życie wyglądało, jak wyglądało, ale perspektywa nowych spodni budziła pozytywne drżenie serca. W takich chwilach Viga zawsze była kobietą.

Podjechała do sklepu Morgmaja, który był jednym z największych na głównej, handlowej ulicy. Działał codziennie, od wczesnego rana, do późnego wieczora. Zasada jego funkcjonowania przypominała trochę sklepy z zaopatrzeniem dla przemytników, najemników i innych tego typu szarej maści zawodów. I prawdopodobnie, gdyby nie to, że okoliczne jednostki Straży też się u niego zaopatrywały, jego podwoje zostałyby dawno zamknięte, budynek spalony, a ziemia, na której stał, przesypana solą. Mówimy bowiem o kimś, kto miał w sprzedaży nawet ogłuszające działko dźwiękowe w rozmiarze dziecięcym.

Przekraczając próg przybytku natychmiast dopadł Vigę handlarz, jeden z wielu zresztą, który poprowadził ją do osłoniętego parawanem stolika i przeprowadził rozmowę, czego potrzebuje, na jaką okazję, za jaką kwotę. Potaknął głową z osiem razy i odszedł. Nie przeglądało się tu półek,

nie szperało w koszach pełnych ciekawostek, nie szukało okazji. Tu podawało się listę zakupów i czekało na towar.

Viga wyszła stamtąd półtorej godziny później, zaopatrzona w dwie pary spodni, kurtkę taktyczną, nowe buty, dwa lśniące noże, w tym jeden wielofunkcyjny, zestaw tabletek odkażających wodę, a w gratisie trzy pary skarpet. Wydała więcej niż chciała, ale miała wrażenie, że następne sześć miesięcy nie będzie obfitować w okazje na zakupy. Szybko zapakowała się do mobila i zniknęła w kurzu, który wzbił się na słabo utwardzonej żwirowej drodze.

Nikt nie powinien dowiedzieć się o zmianie przydziału, wtedy jest łatwiej. Poza tym Korporacja doceniała dyskrecję. Im mniej świat wiedział o tym, jak wygląda życie specjalisty kontraktowego, tym lepiej. Stwarzali pozory swojej wolności. Wolni myśleli, że kontraktowi są tacy jak oni, niewolnicy patrzyli na nich z zazdrością. Nie znali jednak prawdy. Tacy jak ona nigdy nie byli wolni, bo to, co robili i kim się stawali, definiowało Konsorcjum. Od niewolnika różniła ich tylko przyzwoita wypłata. Dzięki prostej metodzie trzymania paszczy na kłódkę, w ocenie ogółu pozostawali elastycznymi pracownikami dużych firm, gdzie na pewno świetnie płacą. Żaden specjalista kontraktowy nie chciał się przyznać, do jakiego stopnia muszą podlegać poleceniom, rozkazom. Nieposłuszni natychmiast trafiali w niewolę, lub do kolonii karnej. Większość z nich była i tak samotnikami z charakteru lub wychowania, lub po prostu zdziwaczeli do końca i woleli pozostać na uboczu. Taki tryb życia ułatwiał trzymanie

wszystkich na dystans, a jak trzeba się było pożegnać – nie wylewano łez. Zdarzały się romanse, przelotne i dłuższe związki, ale na końcu zostawał plecak i koperta z danymi nowego przydziału.

Plecak i torba w ciągu pół godziny stały przy drzwiach. Resztę wieczoru i noc poświęciła na spakowanie paru kartonów z rzeczami, które wolałaby jednak odzyskać po powrocie. Trochę sprzętu elektronicznego, który w misji nie będzie potrzebny. Kilka koców, które kupiła na targu dwa miesiące temu, zapasowe ciuchy, parę dobrych kuchennych sprzętów, gruby notatnik. Postawiła to wszystko na wielkim fotelu, do którego przykleiła kartkę, że też wolałaby go zatrzymać. Nie bawiła się w sprzątanie niepotrzebnych rzeczy, notatek. Wiedziała doskonale, widziała to nie raz, że likwidacja domu będzie polegała na spaleniu wszystkiego, co się da, najlepiej łącznie z budynkiem. Dzięki temu najdalej w poniedziałek w południe z półtorarocznego życia tutaj pozostanie tylko sterczący kikut osmalonego, nadpalonego tufi.

Ranek już dawno przeszedł w zapomnienie, kiedy Viga się obudziła. Temperatura rosła niemiłosiernie, zapowiadając koszmarne popołudnie. Pierwszą myślą tego dnia była świadomość, że chyba nie musi pisać raportu z awarii. Uśmiechnęła się do siebie. Już nie raz miała przyjemność spowiadania się przed Radą Nadzorczą z tego typu zakłóceń. Najczęściej trzeba było po prostu znieść stek wyrzutów, obelg i rzucania wielkimi cyframi. Przy odrobinie

szczęścia wypuściliby ją po dwóch godzinach prania mózgu.

Zwlokła się z antresoli i odpaliła maszynę swojego pomysłu. Wszelkiego rodzaju klimatyzatory, regulatory atmosfery dokonywały żywota w tym klimacie w ciągu góra tygodnia, chyba że były to wielkie przemysłowe urządzenia, o wielkości małego pałacu. Dlatego trzeba było działać niestandardowo i z temperatury uczynić motor napędowy. Własny projekt dobrze jej służył. Cóż, że zdobyczny azot prawie przypłaciła wolnością, bo paser chciał już ją sprzedać Straży. Okazało się jednak, że dobrze mieć piwo w lodówce. Dwóch Strażników, którzy zapukali do drzwi, natychmiast dostało po butelce w łapę. Posiedziawszy godzinkę na kanapie, w temperaturze dwudziestu trzech stopni, byli gotowi wręcz z nią zamieszkać. „Szkoda, że mechanizm też skończy na śmietniku”.

Przez większość popołudnia dziewczyna kręciła się smętnie po mieszkaniu, a na sumieniu miała tylko trzy telefony i dwie piesze wycieczki do sąsiadów. Czekala ją jeszcze jedna dłuższa podróż.

Kiedy zajechała pod warsztat Koe, było już zupełnie ciemno. Z pobliskiej kępy wynurzyła się głowa wielkiego świerszcza. Odezwał się, prawie skowycząc w nadchodzący mrok, i schował z powrotem w krzaki. Jeszcze czekał, aż zapadnie prawdziwa noc. Wtedy wychodził na polowanie. Gdyby nie to, że przed wejściem świeciła się lampa, Viga nie zauważyłaby, że właściciel siedział przed bramą i czytał. Nic dziwnego. Koe był miejscowy, czarny jak noc. Jego skóra

nie odbijała nawet promienia słonecznego. Wielka bezwłosa głowa kołysała się dziwnie na wąskiej szyi, drapana przekomicznie długimi siedmioma palcami prawej ręki.

– Na pewno się nie rozmyśliłaś? – zapytał jak tylko podeszła do stojącego obok niego drugiego fotela.

– Nie! Zresztą nie mam wyjścia. A kto o niego zadba lepiej niż ty?

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

Spędzili wiele godzin na rozmowie, gdy grzebali razem przy mobilu. Wspólna praca i zainteresowania sprawiły, że mieli do siebie zaufanie. Jako jeden z niewielu na tym zakurzonym kawałku Galaktyki Koe wiedział, kim Viga jest i czym się zajmuje.

Wszedł do warsztatu i wyniósł z niego małą skrzynkę. Podekscytowany podniósł wieczko, we wnętrzu zaślniły cztery czarne kryształy, każdy wielkości kciuka. Kobieta dotknęła ich dłonią. Wydawały się mokre i zimne, a to znaczyło, że chakory były najwyższej jakości. Kryształy te były trudne do zdobycia. Nie ze względu na cenę, ale dostępność. Ich obróbka była uciążliwa, zajmowały się tym w zasadzie tylko wojskowe laboratoria, przez co na rynku cywilnym chakory raczej się nie pojawiały. Specyficzna sygnatura energetyczna umiejętnie zakłócała większość czujników, a możliwość spotęgowania mocy powodowała, że w sytuacjach nagłych, z kategorii „jest bardzo niebezpiecznie, zaraz zginiemy”, warto było mieć te cuda przy sobie.

Viga zamknęła ostrożnie wieko skrzynki, wzięła ją w dłoń i wsadziła do przewieszanej na ramieniu torby. Z kieszeni wyciągnęła blokadę do mobila i wręczyła ją Koe razem z małym woreczkiem. Mobil nie był aż tak cenny, żeby starczyło na cztery chakory. Mechanik przymknął jaskrawoczerwone oczy, ważąc w dłoniach sakiewkę, ale nie sprawdził zawartości.

Nie było pożegnań. Ona uniosła dłoń, Koe uniósł dłoń, a potem odwróciła się i odeszła, gniotąc ciężkimi butami skalne okruchy.

Ledwo minęła ósma, kiedy pod dom podleciał nieduży transportowiec, wzbijając tuman pyłu. Na pojedynczym schodku siedziała jego przyszła pasażerka. Podniosła się, kiedy z wnętrza wyszło trzech żołnierzy. Ledwie zaszczycili ją spojrzeniem. Poprowadziła ich do środka i wskazała fotel i cztery kartony stojące na nim.

– To do przechowania. Reszta niepotrzebna.

Najstarszy z nich pokiwał głową.

– Bagaż?

– Przed wejściem.

Skinął na kolegów, którzy jednym płynnym ruchem podnieśli fotel i postawili go na platformie. Metr kwadratowy antygrawitacyjnego cuda przewiózł wolno jej dobytek w kierunku transportowca. Wyszła za nim, nie oglądając się na wnętrze domu, po drodze podnosząc torby. Przed wejściem do statku żołnierz podsunął jej skaner. Standardowa procedura.

- Połóż lewą dłoń w celu zeskanowania personaliów i potwierdź głosowo.

Zimny dotykowy ekran wibrował pod dłonią, to było znajome wrażenie. Nie czuła strachu ani podekscytowania, wkraczała ponownie na znaną ścieżkę. Bez emocji wykonała polecenie:

- Viga Mimishi

Koniec Wersji Demonstracyjnej